
Ex Libris

LEKCJA OPORU

ADAM LESZCZYŃSKI

UNIwersytet SWPS w Warszawie

mail: adam175@gmail.com

ORCID: <https://orcid.org/0000-0002-9730-462X>

Duplicator Underground. The Independent Publishing Industry in Communist Poland, 1976–1989, eds. Gwido Zlatkes, Paweł Sowiński, Ann M. Frenkel, Slavica, Bloomington 2016, ss. 511

Wydaną po angielsku – z myślą o międzynarodowym czytelniku – antologię tekstów poświęconych podziemnemu obiegowi wydawniczemu w PRL można traktować dwojako. Po pierwsze – jako uzupełnienie ważnej luki w anglojęzycznym piśmiennictwie naukowym, w którym można przeczytać dużo o samizdacie w ZSRR, ale znacznie mniej, nic prawie, o potężnej polskiej podziemnej działalności wydawniczej. Po drugie – można ją czytać jako socjologiczno-historyczny podręcznik organizowania kampanii politycznej w państwie autorytarnym (schyłkowy PRL raczej na miano „totalitarnego” nie zasługuje; jeśli to był totalitaryzm, to bardzo mocno spróchniały i pozbawiony młodzieńczej pewności siebie).

Czasy się oczywiście zmieniły: dziś nikt już nie będzie drukował gazetek na powielaczu, żeby ugodzić w autorytarną władzę, ani przewoził biblioty w plecaku z miasta do miasta. Dziś papierowe gazety czytają już niemal wyłącznie ludzie po czterdziestce; życie polityczne przeniosło się

w całości do internetu, który rządzącym trudniej jest kontrolować niż drukowany obieg informacji. Nie należy jednak przeceniać znaczenia technologicznej zmiany. Autorytarne formy rządów nie odeszły w przeszłość, jak naiwnie często sądzono w latach dziewięćdziesiątych. Przeciwnie, przeżywają dziś renesans.

Problem dostarczenia opozycyjnych komunikatów – informacji i opinii – odbiorcom w autorytarnym państwie pozostaje więc, niestety, całkowicie aktualny. Te komunikaty trzeba wyprodukować i dystrybuować, co wymaga odpowiedniej organizacji: pieniędzy, logistyki, odważnych autorów i autorek oraz pracowników technicznych. Z tego punktu widzenia historia polskiego podziemnego ruchu wydawniczego może być użyteczną lekcją.

Duplicator Underground to niesłuchanie ambitne przedsięwzięcie wydawnicze. Główną część książki stanowi zbiór esejów poświęconych drugiemu obiegowi wydawniczemu

(o nich za moment). Dwie kolejne części to wybór dokumentów źródłowych, naturalnie w angielskim przekładzie, oraz relacje czworga kluczowych działaczy – w tym Mirosława Chojeckiego, szefa Niezależnej Oficyny Wydawniczej, oraz Witolda Łuczywy, współzałożyciela i wydawcy „Robotnika”. Autorzy zadbali o cały niezbędny aparat naukowy: w osobnych dodatkach czytelnik znajdzie m.in. słowniczek terminów używanych przez Służbę Bezpieczeństwa, noty biograficzne oraz wyjaśnienie struktury organizacyjnej Solidarności w latach 1980–1989.

Książka została starannie przygotowana od strony językowej: przełożone teksty nie uderzają niezgrabną angielszczyzną, która zdarza się polskim publikacjom w tym języku. Dużo pracy poświęcono przypisom, przygotowanym z myślą o czytelniku, który może mieć luki w podstawowej wiedzy o Polsce Ludowej. Można tu znaleźć np. noty na temat Konfederacji Polski Niepodległej czy Ruchu Młodej Polski (s. 139) albo „bibuły” (s. 31). Niektóre terminy – takie jak „bibuła” właśnie – redaktorzy pozostawili, po wyjaśnieniu, w polskim brzmieniu, co jest jedynym sensownym wyborem.

Wstęp do zbioru, napisany przez troje redaktorów, zawiera przegląd literatury oraz próbę pokazania skali zjawiska w międzynarodowym kontekście. Podziemny obieg wydawniczy był bez wątpienia fenomenem na skalę światową: w ciągu czternastu lat jego istnienia opublikowano 6,5 tys. książek w nakładach sięgających 40 tys. egzemplarzy. Pod względem politycznego i kulturowego znaczenia obieg podziemny mógł śmiało rywalizować z oficjalnym. *Mała apokalipsa* Tadeusza Konwickiego i *Wielki strach* Juliana Strykowskiego zadebiutowały na niezależnym rynku w nakładzie 15 tys. W tym samym czasie ukazywało się 6 tys. periodyków – z których

najważniejszy, „Tygodnik Mazowsze”, osiągał w szczytowym momencie nakład kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Dziś w wolnej Polsce, w której nie ma cenzury, nakład powieści przekraczający 10 tys. egzemplarzy uznawany jest już za wydawniczy sukces.

Wszystko to robione było w tajemnicy przed tajną policją reżimu, w warunkach braku papieru i farby drukarskiej oraz ściśle kontrolowanego przez władze dostępu do technologii drukarskiej. Dziennikarze i redaktorzy pracowali w ukryciu, podobnie jak gigantyczna sieć dystrybucyjna, opierająca się na ochotnikach. Drukowano czasopisma dla kobiet, dla dzieci i nawet dla milicjantów.

Podziemny obieg wydawniczy był więc zjawiskiem społecznej samoorganizacji porównywalnym z Polskim Państwem Podziemnym w czasach drugiej wojny światowej, a jednocześnie unikalnym w światowej skali. Sowiecki samizdat – przepisywany na maszynach do pisania i przekazywany z rąk do rąk – w porównaniu z polskim drugim obiegiem był mikroskopijny. (Trzeba jednak oddać sprawiedliwość twórcom samizdatu: działali w warunkach znacznie silniejszej kontroli reżimu i ryzykowali znacznie więcej niż ich polscy koledzy). W lutym 1982 r. Ewa Kubasiewicz otrzymała najwyższy w dziejach schyłkowego PRL, dziesięcioletni wyrok za dystrybucję ulotki wzywającej do oporu wobec stanu wojennego, podpisanej imieniem i nazwiskiem. Zwolniono ją jednak w maju 1983 r. „ze względu na stan zdrowia” i oficjalnie amnestionowano w lipcu tego roku.

Autorzy wstępu łatwo popadają w patos: piszą, że polska transformacja była „jednym z cudów XX wieku i prawdopodobnie całej ludzkiej historii” (s. 1). Z perspektywy czasu to z pewnością przesada: w latach osiemdziesiątych

i dziewięćdziesiątych fala demokratyzacji objęła kilkadziesiąt krajów świata, zwłaszcza peryferyjnych i półperyferyjnych w stosunku do Walersteinowskiego światowego centrum. Wiele z nich doświadczyło reżimów bez porównania brutalniejszych niż rządy komunistyczne w Polsce – żeby wymienić RPA, która od rasistowskiego reżimu bezkruwo przeszła do demokracji. Podkreślanie zasług polskiej opozycji dla całej ludzkości świadczy, paradoksalnie, o naszej peryferyjności. Nie ma żadnej potrzeby, aby to robić; historia Polski w całej swojej lokalności jest wystarczająco ważna, aby o niej pisać.

Szczęśliwie później przechodzimy do konkretów. Charakterystykę i historię drugiego obiegu przedstawia otwierający zbiór esej prof. Andrzeja Friszke. Historyk skupia się na korzeniach intelektualnych środowisk opozycyjnych oraz początkach ruchu wydawniczego, opisuje m.in. uruchomienie pierwszego powielacza przez środowisko Komitetu Obrony Robotników. Kluczowe były związki z zagranicą: powielacz przemycono z Londynu, a uruchomienie pisma literackiego „Zapis” (luty 1977 r.) było możliwe dzięki 10 tys. dolarów przekazanych kilka miesięcy wcześniej Wiktorowi Woroszyłskiemu na wsparcie dla represjonowanych pisarzy. NOW-a, największe i najważniejsze podziemne wydawnictwo, pozyskała cztery powielacze na licytacji używanego sprzętu sprzedawanego przez Ambasadę Stanów Zjednoczonych w Warszawie.

Esej o kulturze pracy podziemnych drukarzy napisał prof. Paweł Sowiński, z pewnością najlepszy specjalista w tej dziedzinie (autor monografii *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*, wyd. ISP PAN, Warszawa 2011). Czytamy więc o powielaczach zamarzających w stodolach i o prymitywnej technice drukarskiej – która była równocześnie genialnym wynalaz-

kiem. Według słów Witolda Łuczywy profesjonalny zespół podziemnych drukarzy mógł zostać wyszkolony w cztery godziny, a samą drukarnię dało się ustawić w kuchni lub w łazience małego mieszkania – i zrobić przerwę w pracy, aby przygotować obiad lub wykąpać dzieci (s. 42). Drukarnie zakładano w prywatnych domach, przenoszono, ukrywano. Siedleckie wydawnictwo Metrum miało dziesięć drukarni w ciągu kilku lat swojego istnienia (s. 50). Sowiński wie o tym wszystko: pisze o niezależności i specyficznej kulturze środowiskowej drukarzy, zna trasy przerzutowe sprzętu z zagranicy – finansowanego często, pośrednio przez rząd Stanów Zjednoczonych.

Dysydenci z różnych krajów bloku uczyli się od polskich kolegów: nasz drugi obieg pozostawał inspiracją m.in. dla Węgrów, którzy drukowali u siebie książki i broszury w nakładach sięgających nawet kilku tysięcy egzemplarzy. Nigdzie jednak skala podziemnego ruchu wydawniczego i jego organizacyjnego nie była porównywalna z tym, co powstało w Polsce. Sowiński zauważa jednak wyraźną zmianę kultury organizacyjnej pracy drukarzy i wydawców: im bliżej było końca komunizmu, tym bardziej wartości materialne stawały się ważniejsze dla ludzi pracujących wcześniej wyłącznie z pobudek idealistycznych, zazwyczaj kosztem życia osobistego.

Eseje Małgorzaty Chomy-Jusińskiej, Konrada Knocha i Mirosława Rybickiego poświęcone są pojedynczym wydawcom – katolickim „Spotkaniem” z Lublina oraz Wydawnictwu Młoda Polska z Gdańska. Osobne teksty poświęcono wydawcom z Wrocławia (Kamil Dworaczek) oraz Częstochowy (Jarosław Kapsa) oraz przedstawicielom młodszego pokolenia polskiej opozycji, wchodzącego w dorosłe życie już po karnawale Solidarności (jak Ruch Wolność i Pokój, założony

w 1985 r.). Napisała o nich Siobhan Doucette, autorka wydanej w 2017 r. monografii o roli polskiej prasy opozycyjnej w obaleniu systemu komunistycznego (*Books are weapons: the Polish opposition press and the overthrow of communism*, University of Pittsburgh Press).

Techniki drukarskie podziemia z ogromnym pietyzmem odtworzyli Szczepan Rudka i Jan Strękowski. Dowiadujemy się z ich tekstów – piszę to bez ironii – o ogromnej roli, którą detergent Komfort oraz pasta BHP odegrały w obaleniu komunizmu. Szczegóły techniczne mają znaczenie, ponieważ dają świadectwo ogromnej oddolnej kreatywności. Stale próbowano ulepszać technologie, budowano nawet w domach maszyny drukarskie z prawdziwego zdarzenia. Opisy tej improwizacji muszą budzić dziś ogromny szacunek. Reżim nie miał szans z takim przeciwnikiem.

Nieruchawa biurokratyczna maszyna schyłkowego PRL stała więc wobec drugiego obiegu przed niełatwym politycznym i organizacyjnym dylematem (opisują go w swoich artykułach Jerzy Kolarzowski z Gwidonem Zlatkesem oraz Grzegorz Wolk). Władze wahały się między stosowanymi ze zmiennym przekonaniem represjami – drukarzy często oskarżano nie na podstawie stosownych paragrafów dostępnych w prawie PRL, ale o inne, pomniejsze przestępstwa – a ograniczonym przyzwoleniem, przynajmniej w pewnych środowiskach (takich jak inteligencja wielkomińska), uznawanych za i tak stracone dla partii i rządu.

Służba Bezpieczeństwa najbardziej zawzięcie tropiła podziemne drukarnie w okresie stanu wojennego. Od grudnia 1981 r. do końca 1983 r. w samej Warszawie odkryła 29 takich placówek i skonfiskowała 83 urządzenia drukarskie. W samym 1982 r. tajna policja przejęła ponad

300 tys. egzemplarzy niezależnych publikacji. Był to jednak sukces umiarkowany. Według szacunków samych organów represji udało im się wówczas przejąć tylko 30 proc. produkcji wydawniczej. Wyznaczałoby to jej realny pulap na imponującym poziomie miliona egzemplarzy (s. 239).

Esbecy próbowali nawet sami wydawać pisma – takie jak „Bez Dyktatu”, sygnowane przez założoną przez SB fikcyjną komórkę podziemnej Solidarności. Ale to źle działało: pismo wyglądało za ładnie jak na podziemną publikację z prawdziwego zdarzenia, a jego ton budził podejrzenia jako zbyt koncyliacyjny wobec władz. Sama liczba podziemnych publikacji przytłaczała: według analizy przygotowanej w 1987 r. przez MSW w przypadku większości z nich nie próbowano nawet prowadzić śledztwa. W schyłkowej fazie reżim rozważał zarówno zaostrzenie represji – w tym przepadek nieruchomości, w których odkryto drukarnie – jak i przyciągnięcie części autorów i wydawców do głównego, oficjalnego obiegu, zwłaszcza tych, którzy „mieli autorytet i reprezentowali wysokie wartości artystyczne” (według słów ministra Czesława Kiszcza, s. 254).

Socjolog Mateusz Falkowski i historyk Adam Mielczarek podjęli trud socjologicznej analizy ruchu. Według Falkowskiego ruch wydawniczy nie tylko był jedną z podstawowych form działalności opozycyjnej, ale miał także konsekwencje dla dynamiki całego ruchu społecznego Solidarności (s. 268). Sukces wydawniczego podziemia i postrzeganie go jako „rynku wydawniczego” przez jego głównych aktorów przyczyniło się do ewolucji poglądów opozycji na kształt gospodarki przyszłej, demokratycznej Polski. Ta ewolucja odbywała się naturalnie w stronę akceptacji ustroju kapitalistycznego, opartego na rynku i własności prywatnej, w odróżnieniu od

pierwotnych projektów NSZZ Solidarność z 1980/1981 r. Budowanie „kultury niezależnej” – niezależnej od władz – było dla opozycji jedną z głównych form ekspresji i zarazem narzędziem kwestionowania politycznego porządku PRL. Było także elementem tworzenia własnych, równoległych instytucji – efektem autentycznej obywatelskiej ekspresji, a nie oficjalnych, państwowych struktur. Kwestie finansowania i własności w ruchu wydawniczym były problematyczne od samego początku; logika rynkowa konkurowała w wewnętrznych dyskusjach o strukturze ruchu z narracją o służbie obywatelskiej, której owoce (czyli „bibuła”) powinny być dystrybuowane za darmo. Ostatecznie już od końca lat siedemdziesiątych, pisze Falkowski, drukarze i dystrybutorzy lubili postrzegać swoją działalność jako samofinansujący się biznes, poddany logice rynkowej (s. 279), chociaż byli dotowani setkami tysięcy dolarów płynącymi z zagranicy (s. 288).

Widoczne napięcie pomiędzy logiką rynku i logiką służby zapowiadało dylematy moralne i polityczne wczesnych lat transformacji.

* * *

Tyle mówi nam ta fascynująca i bardzo potrzebna książka. Spróbujmy wrócić na zakończenie do pytania postawionego na wstępie: czy podziemny ruch wydawniczy w PRL uczy nas czegoś uniwersalnego o mechanizmach protestu w państwie autorytarnym.

Można w tym miejscu ograniczyć się do paru banalnych obserwacji: opozycja potrzebuje zasobów materialnych (w realiach PRL tę rolę odegrało finansowanie z zagranicy); opozycja potrzebuje środowiskowego etosu, rozumianego jako zespół wspólnie wyznawanych wartości i celów politycznych i tak dalej.

Oglądane z dzisiejszej perspektywy wyzwania i metody walki politycznej z autorytarnym PRL nie wydają się jednak specjalnie pomocne. Pozostają uwarunkowane specyfiką dyktatury i stanem ówczesnej technologii, ich doświadczenia mają więc głównie archiwalny charakter. W XXI wieku autorytaryzmy działają na zupełnie innych zasadach niż państwo Jaruzelskiego i Kiszczaka. Wolne słowo jest dostępne w internecie. Dzisiejsze reżimy autorytarne dopuszczają często istnienie opozycyjnych mediów, nawet jeśli w ograniczonym zakresie, oraz przyzwalają na dyskusję w mediach społecznościowych, nawet jeśli jak w Chinach czy Iranie zatrudniają armię cenzorów, żeby je kontrolować. W odróżnieniu od PRL akceptują logikę rynku, pozwalają też obywatelom na wyjazd za granicę i nieograniczoną konsumpcję. Tolerują również często istnienie opozycji politycznej, choć poddają ją represjom i ograniczają możliwości działania (tak jest w Rosji i w Chinach, ale również na Węgrzech).

Wyzwania dla działalności opozycyjnej pozostają w takich warunkach podobne tylko na najbardziej podstawowym poziomie, a więc np. na poziomie mobilizacji zasobów – czy to materialnych, czy symbolicznych. Kiedy nie trzeba niczego publikować w podziemiu, siła rażenia dostępnego wolnego słowa może okazać się paradoksalnie niższa niż gazetek drukowanych na spirytusowym powielaczu w łazience w peerełowskim bloku.

Nie ma żadnych wątpliwości, że drukarze pracujący w polskim drugim obiegu byli bohaterami oporu. Ich heroizm był jednak znacznie bardziej oczywisty od heroizmu ludzi walczących w 2018 r. z reżimem Putina czy Erdogana. Ci drudzy nie trafiają często do więzienia, chociaż ta groźba pozostaje naturalnie obecna. Bycie w opozycji kosztuje ich kariery, awanse

i dobrobyt. W oczach współobywateli, skupionych na konsumpcji i codziennym życiu, są naiwnymi, utopijnymi marzycielami, którzy zaprzeczają szansę na wygodne życie.

Według nieoficjalnych szacunków w Chinach w 2008 r. działało ponad 4 tys. podziemnych drukarni, a przemysł książek z Hong Kongu – w którym istnieje wolność słowa – pozostaje powszechny, zwłaszcza w kręgach intelektualistów i politycznej elity. Cenzura jest teoretycznie wszechobecna, ale w praktyce duża część książek jej nie podlega. To wszystko nie wpływa w zauważalny sposób na stabilność reżimu.

Czy jest więc możliwe, że generał Kiszczak miał rację, kiedy sugerował w 1987 r. przyzwolenie na oficjalną publikację przynajmniej części tytułów drugiego obiegu? Może zarówno opozycja, jak i władze przywiązywały zbyt dużą wagę do obecności wolnego słowa? Może i jedni,

i drudzy uważali, że powszechnie dostępna opozycyjna publicystyka i informacja stanowi dynamit, który wysadzi reżim w powietrze?

To byłaby interesująca hipoteza: władza i opozycja grały w grę – jedni starali się drukować bibułę, drudzy blokować jej rozpowszechnianie – ale obie strony gry uważały, że jej stawka jest wyższa niż była w rzeczywistości. Do takiego wniosku mogą prowadzić doświadczenia dzisiejszych autokracji: wolne słowo samo w sobie nie obala dyktatur. PZPR mogła bać się go za bardzo, opozycja – za bardzo wierzyć w jego siłę.

Taka hipoteza nie umniejsza naturalnie heroizmu i zaangażowania podziemnych drukarzy w PRL. Nie ulega wątpliwości, że byli bohaterami. Duplicator Underground to doskonała pod względem warsztatowym książka, która pozwala przybliżyć międzynarodowemu czytelnikowi ich zasługi.